
Jean Baudrillard

Precesja symulaków

Simulacrum nigdy nie jest tym, co ukrywa
prawdę – to prawda ukrywa, że jej nie ma.
Simulacrum jest prawdą.

Eklezjastes

Gdybyśmy mieli za najpiękniejszą alegorię symulacji uznać fikcję Borgesa, w której kartografowie Cesarstwa zarysowują mapę tak szczegółową, że w końcu pokrywa ona szczerlnie całe terytorium (ale schyłek Cesarstwa jest świadkiem, że mapa zaczyna się strzępić i popadać w ruinę, choć kilka skrawków na pustkowiach dałoby się jeszcze naprawić – metafizycznie piękna jest ta zrujnowana abstrakcja świadcząca o pysze na miarę Cesarstwa, a rozkładająca się jak padlina, obracająca się w proch, co przypomina nieco sobowtóra utożsamiającego się na starość z pierwowzorem) – to fikcja ta zatoczyła względem nas pełne koło i ma co najwyżej dyskretny urok symulaków drugiego stopnia.

Jean Baudrillard (ur. 1929), socjolog i filozof francuski, od 1986 profesor socjologii na uniwersytecie Paris-Nanterre. Główny inicjator i nader wpływowy autorytet w socjologicznej refleksji nad przełomem postmodernistycznym w życiu społecznym i kulturze, w tym zwłaszcza nad cechami i konsekwencjami postindustrialnego przełomu technologiczno-cywilizacyjnego najbardziej rozwiniętych społeczeństw Zachodu. Autor m.in.: *Le Système des objets*, 1968; *La Société de consommation, ses mythes, ses structures*, 1970; *Le Miroir de la production*, 1973; *L'Échange symbolique et la mort*, 1976; *Simulacres et simulation*, 1981; *Les Stratégies fatales*, 1983; *L'Amérique*, 1986; *La Transparence du mal: essai sur les phénomènes extrêmes*, 1990.

Literatura: A. Szahaj, *Jean Baudrillard – między rozpaczą a ironią*, „Kultura Współczesna” 1994, nr 1(3).

Abstrakcją nie jest już dzisiaj mapa, sobowtór, zwierciadło albo pojęcie. Symulacja nie dotyczy jakiegoś terytorium, bytu referencyjnego albo substancji. Jest natomiast generowaniem, przy pomocy modeli, nierzeczywistej i pozbawionej oparcia realności – hiperrealności. Terytorium nie poprzedza już mapy ani nie żyje dłużej niż ona. Nadeszły czasy, że mapa poprzedza terytorium – *precesja symulaków* – że mapa rodzi terytorium i, jeśli raz jeszcze przywołać fikcję Borgesa, strzępy owego terytorium powoli obracają się w proch na gładzi mapy. Poniewierają się tu i ówdzie resztki nie mapy, ale rzeczywistości, choć nie na pustkowiach Cesarstwa, ale na naszym pustkowi. *Pustkowi, gdzie brakuje tego, co rzeczywiste.*

Nawet odwróciwszy sens fikcji, nie da się jej spożytkować. Być może oparła się jedynie alegoria imperium. Bo z tym samym imperializmem dzisiejsi symulanci próbują uzgodnić rzeczywistość, wszelką rzeczywistość, z własnymi modelami symulacji. Chociaż nie chodzi już ani o mapę, ani o terytorium. Coś zniknęło, mianowicie zasadnicza różnica między tym, co przysparzało tyle uroku abstrakcji. Różnica odpowiedzialna za poezję mapy i urok terytorium, magię pojęcia i czar rzeczywistości. Wyobraźniowy świat przedstawić, którego zwieńczeniem, a zarazem ostatecznym upadkiem jest szalona idea kartografów o idealnej współbieżności mapy i terytorium, rozprasza się w symulacji – jej działania są nuklearne i genetyczne, a nie spekulatywne i dyskursywne. Odpada cała metafizyka. Żadnego odtąd zwierciadła natury i zjawisk, rzeczywistości i jej pojęcia. Żadnej wyobraźniowej współbieżności, to raczej genetyczna miniaturyzacja jest przestrzenią symulacji. Rzeczywistość jest produkowana przez mikroskopijne komórki, matryce i moduły pamięci, systemy operacyjne – da się ją zatem powielać w nieskończoność. Można się obejść bez racji, przestał bowiem istnieć, jako ideał bądź negatyw, punkt odniesienia. Wystarczą operacje. A operacyjność nie jest realnością – tę dawno już przestała ogarniać wyobraźnia. To hiperrealność, produkt promieniotwórczej syntezy modeli-kombinatorycznych w pozbawionej powietrza nadprzestrzeni.

Wkraczając w przestrzeń, której krzywizny nie opisuje już ani rzeczywistość, ani prawda, epoka symulacji likwiduje najpierw wszelką referencyjność – gorzej: pozwala jej sztucznie zmartwychwstawać w systemach znakowych, materiale bardziej plastycznym niż sens, gdy zważyć, na co pozwala on wszystkim owym systemom ekwiwalencji, wszystkim owym opozycjom binarnym, całej tej algebrze kombinatorycznej. Nie chodzi już ani o imitację, ani o podwojenie, ani tym bardziej o parodię. Chodzi o podstawienie w miejsce rzeczywistości znaków rzeczywistości, to znaczy o operację, gdzie zamiast realnego procesu na pierwszy plan wysuwa się jego operacyjny sobowtór, homeostatyczna maszyna znakotwórcza, bezgrzeszna, programowalna, która oferuje wszystkie znaki rzeczywistości i w krótkim zwarciu wszystkie jej perypetie. Nigdy więcej rzeczywistość nie będzie miała okazji stwarzać siebie – oto żywotna funkcja modelu w systemie śmierci czy może raczej antycypowanego zmartwychwstania, które nie da już żadnej szansy samemu nagiemu faktowi śmierci. Odtąd hiperrealność, obojętna wobec świata wyobraźni i wszelkich podziałów na to, co rzeczywiste, i to, co wyobrażone, pozwala jedynie na orbitalną rekurencję modeli i na symulowane generowanie różnic.

Boska irreferencja obrazów

Nie dać nic poznać po sobie, dysymulować – to udawać, że nie ma się tego, co się ma. Symulować – to udawać, że ma się to, czego się nie ma. Pierwsze wiąże się z obecnością, drugie z nieobecnością. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana, bo symulowanie nie jest udawaniem: „Ktoś, kto udaje chorobę, po prostu kładzie się do łóżka i przekonuje, że jest chory. Ktoś, kto symuluje chorobę, wywołuje w sobie jej pewne objawy” (Littré). Zatem udawanie i dysymulacja nie naruszają zasady rzeczywistości – różnica jest oczywista, aczkolwiek niejawną. Tymczasem symulacja stawia pod znakiem zapytania różnicę między „prawdziwym” a „fałszywym”, między światem „rzeczywistości”

a światem „wyobraźni”. Skoro symulant produkuje „prawdziwe” objawy, to czy jest, czy nie jest chory? Nie można go obiektywnie uznać ani za chorego, ani za nie chorego. Psychologia i medycyna zatrzymują się w tym miejscu, przed niemożliwą odtąd do znalezienia prawdą choroby. Skoro bowiem pewien symptom może być „produkowany”, a tym samym nie sposób go uznać za fakt naturalny, to każdą chorobę można uważać za symulowaną i symulowaną, medycyna zaś traci swój sens, wie bowiem jedynie, jak leczyć choroby „prawdziwe” ze względu na ich obiektywne objawy. Psychosomatyka wykonuje podejrzane piruety na krawędzi zasady chorobotwórczej. Psychoanaliza natomiast odsyła objawy z porządku organicznego do porządku nieświadomości, ten zaś uznawany jest za „prawdziwy”, prawdziwszy niż tamten – czemu jednak symulacja miałaby się zatrzymywać na progu nieświadomości? Dlaczego „praca” nieświadomości nie miałaby być „produkowana” tak samo jak jakiegokolwiek inny objaw medycyny klasycznej? Sny przecież już są.

Psychiatra-alienista uzna oczywiście, że „w każdej postaci choroby umysłowej istnieje szczególny porządek następstwa objawów, o którym nie wie symulant, jego brak zatem nie zdoła wyprowadzić w pole psychiatry”. Wszystko to (jeszcze w roku 1865) po to, aby ocalić za wszelką cenę zasadę prawdy i uciec przed problemem, jaki stawia symulacja – tym mianowicie, że prawda, referencja albo przyczyna obiektywna przestały istnieć. Cóż może począć medycyna z tym, co mający po tej albo tamtej stronie choroby, po tej albo tamtej stronie zdrowia, z owym podwojeniem choroby w dyskursie, którego nie cechuje już ani prawda, ani fałsz? Cóż może począć psychoanalityk z podwojeniem dyskursu nieświadomości w dyskursie symulacji, którego nie da się zdemaskować, bowiem też nie jest fałszywy?

Cóż może począć armia z symulantami? Tradycyjnie już, demaskuje ich i karze zgodnie z oczywistością diagnozy. Dziś zdarza jej się leczyć doskonałego symulanta tak, jak gdyby był „rzeczywiście” odpowiednikiem homoseksualisty, zawałowca czy

szaleńca. Nawet psychologia wojskowa wystrzega się już kartezjańskiej jasności i powstrzymuje się przed zarysowywaniem różnicy między prawdą a fałszem, między objawem „produkowanym” a objawem autentycznym. „Skoro tak doskonale udaje szaleńca, to znaczy, że nim jest”. Na dodatek psychologia ta nie popełnia błędów: w pewnym sensie wszyscy szaleńcy symulują i ten brak dystynkcji jest najbardziej wywrotowy. Przeciwnie temu brakowi rozum klasyczny uzbroidł się we wszystkie swe kategorie. Ale ten brak na nowo im zagraża i podważa zasadę prawdy.

Prócz medycyny i wojska, a są to uprzywilejowane obszary symulacji, sprawa wiąże się z religią i z *simulacrum* boskości. „Nie będziesz umieszczał w świątyniach żadnych wizerunków, bo boskość ożywiająca naturę nie może być przedstawiana”. Właśnie że może. Tylko co się z nią dzieje, kiedy objawia się w ikonach, kiedy mnożą się jej wizerunki? Czy nadal pozostaje najwyższą instancją, która po prostu wciela się w obrazy na użytek widzialnej teologii? Czy może też wyparowuje w symulakrach, bo jedynie one uwidaczniają jej przepych i jej fascynującą siłę – i tak oto widzialna maszyna ikon zastępuje jasną i zrozumiałą ideę Boga? A tego obawiali się ikonoklasty, których tysiącletnią walkę dziś prowadzimy my. Przeczuli bowiem wszechmoc symulaków, ich umiejętność wymazywania Boga z ludzkiej świadomości, oraz ową destrukcyjną, unicestwiającą prawdę, jaka stąd płynie: w gruncie rzeczy nigdy żadnego Boga nie było, istniało tylko *simulacrum*, sam Bóg zaś zawsze był tylko własnym wizerunkiem – i stąd brał się ich zapał w niszczeniu obrazów. Gdyby byli w stanie uwierzyć, że obrazy zaciemniają jedynie bądź maskują platońską ideę Boga, nie byłoby powodu do ich niszczenia. Można żyć z ideą zafałszowanej prawdy. Ale o metafizyczną rozpacz przyprawiała ich myśl, że obrazy nie ukrywają niczego i że w sumie nie są obrazami, których status określa model oryginalny, ale jedynie doskonałymi symulakrami, ustawicznie promieniującymi swoim własnym urokiem. Za wszelką cenę zaś należało egzorcyzmować śmierć Boskiej referencjalności.

Wynika stąd, że ikonoklaści, oskarżani o pogardę i negowanie obrazów, w istocie przypisywali im właściwą wagę, w przeciwieństwie do ikonolatrów, którzy widzieli w nich jedynie odbicie i cieszyło ich adorowanie Boga w charakterze filigranu. Ale można twierdzić odwrotnie, że ikonolatrzy byli umysłami na wskroś nowoczesnymi i odważnymi, bowiem pod pozorem przejawiania się Boga w zwierciadle obrazów odgrywali jego śmierć i zniknięcie w epifanii przedstawień (o których być może wiedzieli już, że nic nie przedstawiają, że są czystą grą, choć jest to gra o najwyższą stawkę – wiedząc również, że niebezpiecznie jest demaskować obrazy, ponieważ dysymulują one, że nic poza nimi nie ma).

Toteż jezuici będą opierać własną politykę na zawsze możliwym zniknięciu Boga i na świeckiej i spektakularnej manipulacji sumieniami – to zanik Boga w epifanii władzy, to kres transcendencji, służącej już tylko za alibi dla całkowicie swobodnej strategii wpływów i znaków. Za barokiem obrazów skrywa się szara eminencja polityki.

Być może zatem stawką była zawsze mordercza moc obrazów, tych morderców rzeczywistości, morderców własnego modelu, które niczym bizantyńskie ikony zagrażają Boskiej identyczności. Ich morderczej mocy przeciwstawia się dialektyczną moc przedstawień jako widzialną i inteligibilną mediatyzację Rzeczywistości. Zachód z pełną wiarą i przekonaniem opowiedział się po stronie przedstawienia: niech znak odsyła do głębi sensu, niech znak *będzie wymienny* na sens i niech coś gwarantuje tę wymianę – oczywiście Bóg. Ale jeśli sam Bóg może być symulowany, to znaczy sprowadzony do znaków, które świadczą o jego istnieniu? Wówczas cały system przechodzi w stan nieważkości, jest niczym więcej niż gigantycznym *simulacrum* – nie jest irrealny, jest symulakrem, albowiem jego gwarantem przestaje być rzeczywistość, wymiany dokonuje we własnym zakresie, w nieprzerwanym obiegu wzajemnie do siebie odsyłających referencji.

I tym właśnie różni się symulacja od przedstawienia. Przedstawienie wychodzi od zasady ekwiwalencji znaku i rzeczywis-

tości (nawet jeśli ta ekwiwalencja jest utopijna, jest to założenie podstawowe). Natomiast symulacja wychodzi od *utopii* zasady ekwiwalencji, wychodzi od *radykałnej negacji znaku jako wartości*, wychodzi od znaku odzyskującego pełnię praw po śmierci wszelkiej referencji. Podczas gdy przedstawienie dąży do wchłonięcia symulacji uznawanej za przedstawienie fałszywe, symulacja traktuje cały gmach przedstawienia jako jedno wielkie *simulacrum*.

Takie byłyby zatem kolejne fazy obrazu:

- jest odbiciem głębszej rzeczywistości
- przesłania i wynaturza głębszą rzeczywistość
- przesłania *brak* głębszej rzeczywistości
- nie ma związku z jakąkolwiek rzeczywistością: jest swoim własnym *simulacrum*.

W pierwszym przypadku obraz jest *dobrym* zjawiskiem – przedstawienie należy do kręgu sakramentów. W drugim [jest] *złym* zjawiskiem – z kręgu czarów. W trzecim *udaje, że jest* zjawiskiem – należy do kręgu magii. W czwartym należy już do kręgu nie zjawisk, lecz symulacji.

Przejsie od znaków, które coś dysymulują, do znaków, które dysymulują, że niczego nie ma, oznacza decydujący zwrot. Pierwsze odsyłają do teologii prawdy i tajemnicy (ciągle jej częścią pozostaje ideologia). Drugie otwierają erę symulakrów i symulacji, w której nie ma już Boga rozpoznającego swoich, nie ma już Sądu Ostatecznego oddzielającego prawdę od fałszu, rzeczywistość od jej sztucznego zmartwychwstania, bo wszystko umarło i od razu zdążyło zmartwychwstać.

Kiedy rzeczywistość przestaje być tym, czym drzewiej bywała, pełnię praw zyskuje nostalgia. Idą w górę mity założycielskie i realne świadectwa. Idzie w górę prawda, obiektywność i autentyczność z drugiej ręki. Winduje się prawdziwość, przeżycie i wskrzesza figuratywność tam, gdzie zniknęły już przedmioty i substancje. Obłądnie, z większą nawet przesadą niż w obrębie produkcji materialnej, produkuje się realność i referencjalność: tym, jak się zdaje, jest symulacja w bezpośrednio dotyczącej nas

fazie – strategią realizmu, neorealizmu i hiperrealizmu, dublującą wszędzie strategię gry na zwłokę.

Ramzes albo zmartwychwstanie *en rose*

Etnologia otarła się o własną paradoksalną śmierć któregoś pięknego dnia 1971 roku, kiedy rząd Filipin zdecydował się zostawić na pierwotnym szczeblu rozwoju, poza zasięgiem kolonistów, turystów i etnologów, kilka tuzinów Tasadajów odkrytych niedawno w głębi dżungli, gdzie przeżyli osiemset lat bez styczności z resztą rodzaju ludzkiego. Na dodatek na życzenie samych etnologów, bo ci widzieli już nieraz, że w kontakcie z nimi tubylcy natychmiast się rozkładają jak mumia na świeżym powietrzu.

Aby przeżyła etnologia, musi umrzeć jej przedmiot, on zaś, umierając, mści się za to, że został „odkryty”, i swoją śmiercią rzuca wyzwanie nauce, która zamierza go badać.

Ale może cała nauka znajduje się na owym paradoksalnym stoku, na który skazuje ją znikanie jej przedmiotu w akcie rozumienia i bezwzględne prawo reparacji – powrotu majątku do pierwotnego właściciela – egzekwowane na niej przez martwy przedmiot? Nauka, niczym Orfeusz, zawsze za wcześniej ogląda się do tyłu i wówczas jej obiekt, niczym Eurydyka, zapada w otchłani.

Etnologowie chcieli zabezpieczyć się przed ową otchłanią paradoksu otaczając Tasadajów sanitarnym kordonem dziewiczego lasu. Nikt już nich nie dotknie: odkrywka zapadnie się jak sztolnia. Nauka utraci swój cenny kapitał, ale jej obiekt, stracony dla niej na zawsze, pozostanie cały i zdrow w swojej „dziewiczości”. Nie chodzi tu o ofiarę (nauka nie poświęca się nigdy, jest zawsze mordercza), ale o symulowane ofiarowanie swojego przedmiotu po to, by ocalić zasadę rzeczywistości. Tasadajowie, zamrożeni w stanie naturalnym, posłużą jej za doskonałe alibi, wieczystą gwarancję. Tak zaczyna się bezkresna anty-etnologia, którą w różny sposób wyznają Jaulin, Castañeda

i Clastres. W każdym razie nauka w wyniku logicznej ewolucji coraz bardziej oddala się od swego przedmiotu i wreszcie może się bez niego obejść: jej autonomia jest ciągle fantazją, ale sięga po czystą formę.

W taki oto sposób odesłany do getta Indianin, przykryty szklanym kloszem dziewiczego lasu, staje się symulacyjnym modelem wszystkich możliwych Indian *sprzed etnologii*. Ona zaś, etnologia, przyznaje sobie luksus istnienia poza własnymi granicami, w „surowej” rzeczywistości całkowicie wymyślonych przez siebie Indian, Dzikich zawdzięczających etnologii to, że pozostaną Dzikimi – co za przebiegłość, co za tryumf nauki, której pisane było ich unicestwienie!

Oczywiście, są to pośmiertni Dzicy: zamrożeni, hibernowani, wysterylizowani, zagłaskani *na śmierć*, zmienili się w referencyjne *simulacra*, sama nauka zaś przeobraziła się w czystą symulację. Podobnie jak w Creusot, gdzie w obrębie skansenu zmuzeizowano, jako „historycznych” świadków epoki, całe robotnicze dzielnice, czynne zakłady metalurgiczne, cały obszar kultury, nie wyłączając mężczyzn, kobiet i dzieci, nie wyłączając gestów, słów i zachowań skamieniałych za życia jak na migawkowym zdjęciu. Muzeum, zamiast pozostawać określonym geometrycznie miejscem, jako przestrzeń życiowa rozciąga się teraz wszędzie. Etnologia natomiast, zamiast określać się jako nauka obiektywna, będzie odtąd, pozbawiona swojego przedmiotu, rozszerzać kompetencje na wszystkie żyjące istoty i stawać się niewidzialna jako wszechobecny czwarty wymiar, wymiar *simulacrum*. *Wszyscy jesteśmy Tasadajami*, Indianami, którzy będą żyć nareszcie, jak żyli niegdyś, Indianami, w których przeobraziła nas etnologia – symulakrami Indian objawiającymi na koniec uniwersalną prawdę etnologii.

Wszystkim nam przyszło żyć w widmowym świetle etnologii lub antyetnologii – bo ta jest jedynie czystą formą tryumfującej etnologii – pod znakiem zmarłych różnic i ich zmartwychpowstania. Wielką naiwnością zatem byłoby poszukiwanie etnologii u Dzikich lub w Trzecim Świecie – ona jest wszędzie wokół

nas, w metropoliach, wśród białych, w świecie do końca poznany i skatalogowany, a potem *sztucznie wskrzeszonym na podobieństwo rzeczywistości*, w świecie symulowania, halucynacyjnej prawdy, szantażowania realnością, morderstwa każdej formy symbolicznej i jej historycznej, historycznej retrospekcji – morderstwa, którego koszty ponieśli najpierw, *noblesse oblige*, Dzicy, choć potem doświadczyły go wszystkie społeczeństwa zachodnie.

Tym samym etnologia udziela nam ostatecznej i jedynej lekcji, zdradza nam swój morderczy sekret (Dzicy znają go o wiele lepiej niż ona): zmarły się mści.

Wielkie zamykanie przedmiotu nauki jest równoważne wielkiemu zamykaniu szaleńców i zmarłych. I jak całe społeczeństwo jest nieodwracalnie skażone zwierciadłem szaleństwa, jakie przed sobą ustawiło, tak samo nauce, skażonej śmiercią przedmiotu będącego jej zwierciadlanym obrazem, zostaje tylko śmierć. Nauka tylko pozornie nad nim panuje, bo inwestowanie w martwy przedmiot, przy nieświadomej zgodzie na reparację – na powrót majątku do pierwotnego właściciela – podminowuje ją od wewnątrz, udzielając martwych i cyrkularnych odpowiedzi na martwe i cyrkularne pytanie.

Nic się nie zmienia, kiedy społeczeństwo rozbija zwierciadło szaleństwa (likwiduje szpitale psychiatryczne, dopuszcza do głosu szaleńców itd.), ani kiedy nauka zdaje się rozbijać zwierciadło obiektywności (znikać w obliczu przedmiotu, jak u Castañedy) i bije pokłony „różnicom”. Zmieniają się jedynie formy: zamiast jednej kłódki pojawiają się niezliczone i rozproszone mechanizmy różnicowe. W miarę jak odchodzi w niebyt klasyczna postać etnologii, następuje jej odrodzenie w postaci antyetnologii, której zadaniem jest szpikowanie wszystkiego fikcyjnymi różnicami i fikcyjnymi Dzikimi, aby ukryć przed nami, że cały nasz świat dziczył, to znaczy że spustoszyła go różnica i śmierć.

Podobnie, pod pretekstem ochrony oryginału, zakazano zwiedzającym wstępu do grot Lascaux, zbudowano jednak ich

dokładną replikę pięć metrów dalej, aby wszyscy mogli je zobaczyć (zerka się przez judasza do groty autentycznej, a potem zwiedza zrekonstruowaną całość). Nie jest wykluczone, że ze świadomości przyszłych pokoleń zniknie nawet pamięć o grocie autentycznej, bo już i teraz nie ma między nimi różnicy: podwojenie wystarczy, aby obie uznawać za sztuczne.

Tak samo niedawno zmobilizowano całą dostępną naukę i technikę, aby ocalić mumię Ramzesa II, najpierw pozwoliwszy jej niszczyć przez kilka dziesiątków lat w czeluściach muzeum. Zachód wpadł w popłoch na myśl, że nie umie ocalić tego, co – choć nie na widoku – zdołało przetrwać w porządku symbolicznym przez czterdzieści wieków. Ramzes nic dla nas nie znaczy, natomiast jego mumia jest bezcenna, stanowi bowiem gwarancję, że akumulacja ma sens. Cała nasza linearna i akumulatywna kultura zawali się, jeśli nie zdołamy wydobyć przeszłości na światło dzienne. Po to wydieramy faraonów grobowcom, a ich mumie milczeniu. Po to je ekshumujemy i oddajemy im honory wojskowe. A potem od razu padają one łupem nauki i robaków. Jedynie absolutna tajemnica zapewniała im milenarną władzę – panowanie nad gniciem oznaczające panowanie nad całym cyklem wymiany ze śmiercią. *My* potrafimy już tylko całą naszą wiedzę zastosować do *reparacji* mumii, to znaczy do przywrócenia *widzialnego* porządku, tymczasem balsamowanie było działalnością mityczną mającą na celu unieśmiertelnienie *ukrytego* wymiaru.

Trzeba nam widzialnej przeszłości, widzialnego continuum, widzialnego mitu o początku, który upewnia nas, dokąd zmierzamy. Choć w gruncie rzeczy nigdy nie wierzyliśmy w to wszystko. Stąd owa historyczna scena powitania mumii na lotnisku Orly. Czyżby dlatego, że Ramzes był wielkim władcą i wojownikiem? Niewątpliwie. Przede wszystkim jednak dlatego, że nasza kultura roi sobie, iż za ową umarłą potęgą, którą próbuje zaanektować, skrywa się inny porządek, który nic z nią wspólnego nie ma, roi zaś o tym dlatego, że porządek ów unicestwiła ekshumując go *jako swą własną przeszłość*.

Ramzes fascynuje nas tak, jak renesansowych chrześcijan fascynowali amerykańscy Indianie, owe (czy aby na pewno ludzkie?) istoty, które nigdy nie słyszały nauki Chrystusa. Toteż na moment, w początkach kolonizacji, pojawiło się osłupienie i przebłysk rozumienia, że można się wymknąć uniwersalnemu prawu Ewangelii. Jedno z dwojga: albo przyjąć, że to prawo nie jest uniwersalne, albo dokonywać eksterminacji Indian, żeby zatrzeć dowody. W zasadzie zadowalano się nawracaniem, a nawet zwyczajnym odkrywaniem, co równe było ich powolnej eksterminacji.

Tak samo wystarczy ekshumować Ramzesa, aby dokonała się jego eksterminacja poprzez muzeifikację. Bo nie od robaków gniją mumie – umierają one od transhumacji z powolnego porządku symbolicznego, panującego nad zgnilizną i śmiercią, do porządku historii, nauki i muzeów, naszego porządku, który już nad niczym nie panuje, umie jedynie wtrącać wszystko, co było przed nim, w zgniliznę i śmierć i stara się następnie przywrócić to życiu dzięki nauce. Nieodwracalny gwałt na wszystkich tajemnicach popełniany przez cywilizację wyzbytą tajemnicy. Nienawiść tej cywilizacji do własnych korzeni.

Skoro nawet etnologia stawia na uwolnienie się od swego przedmiotu, aby lepiej utwierdzić się w czystej formie, tym bardziej muzeifikacja jest kolejnym obrotem po spirali sztuczności. Świadectwem klasztor św. Michała z Cuxa, który za duże pieniądze ma zostać repatriowany z Cloysters w Nowym Jorku i postawiony na nowo „na oryginalnym miejscu”. I nikt o tej restytucji złego słowa nie powie (jakby chodziło o „eksperymentalne przywrócenie trotuarów” na Polach Elizejskich!). Otóż jeśli nawet eksportowanie kapiteli istotnie było aktem arbitralnym, jeśli nawet Cloysters w Nowym Jorku to zbieranie wszelkich kultur (zgodnie z logiką kapitalistycznej centralizacji wartości), to reimportowanie do ich miejsc pochodzenia jest jeszcze sztuczniejsze: to pełne *simulacrum*, osiągnące „realność” poprzez całkowitą circumwolucję.

Klasztor mógł zostać w Nowym Jorku w symulowanym otoczeniu, które przynajmniej nikogo nie wprowadzało w błąd. Repatriacja to jedynie dodatkowy wybieg, pozwalający zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, i cieszyć się retrospektywną halucynacją.

Na podobnej zasadzie Amerykanie chwalą się, że dzięki ich staraniom liczba Indian osiągnęła stan, jaki istniał przed podbojem. Wymazuje się wszystko i zaczyna od nowa. Chwalą się, że zrobią nawet więcej i przekroczą pierwotną liczbę. Będzie to dowodem wyższości cywilizacji, która wyprodukuje więcej Indian, niż oni sami byli w stanie to zrobić. (Zakrawa na ponury żart, że ta nadprodukcja jest jeszcze jednym sposobem ich unicestwienia, bowiem podstawą kultury indiańskiej, jak każdej kultury plemiennej, jest ograniczona grupa i zakaz wszelkiego „swobodnego” wzrostu, co można widzieć u Ishi. Bez wątplenia zatem ich „promocja” demograficzna to jeszcze jeden krok ku symbolicznej eksterminacji.)

Żyjemy zatem wszyscy we wszechświecie osobiwie podobnym do oryginału – rzeczy są w nim dublowane przez scenariusz tych rzeczy. Ale to dublowanie nie oznacza, jak to tradycyjnie bywało, bliskości ich śmierci – śmierć została z nich ekspurgowana, i to nawet bardziej niż życie; są bardziej uśmiechnięte, autentyczniejsze w porównaniu ze swoim modelem, podobne twarzom w domach pogrzebowych.

Hiperrealność i świat wyobraźni

Disneyland jest doskonałym modelem wszystkich tych pogmatwanych porządków symulacji. To przede wszystkim gra iluzji i fantazmatów: Piraci, Pogranicze, Future World itd. Sukces przedsięwzięciu miałyby zapewniać ten świat wyobraźni. Jednak tłumy, jak się zdaje, znacznie mocniej przyciąga mikrokosmos społeczny, zmminiaturyzowane, *religijne* obcowanie z rzeczywistością Ameryką, z jej wadami i rozkoszami. Parkujesz na zewnątrz, w środku stoisz w kolejce i zostajesz zupełnie sam przy wyjściu.

W owym świecie wyobraźni właściwą fantasmagorię stanowi czułość i nieodłączne od tłumy ciepło oraz wystarczająco duża liczba gadżetów podtrzymujących to powszechne odczucie. Kontrast z absolutną samotnością parkingu – prawdziwym obozem koncentracyjnym – jest całkowity. Inaczej mówiąc: we wnętrzu cały wachlarz gadżetów magnetyzuje tłum do przepływu w określonych kierunkach; na zewnątrz samotność kieruje do jedyne go gadżetu – samochodu. Cudownym zbiegiem okoliczności (choć bez wątplenia ma to związek z urokiem, jakim emanuje owo uniwersum) ten zamrożony infantylny świat został niegdyś wykoncypowany i zbudowany przez człowieka, który sam dzisiaj leży w lodówce – przez Walta Disneya, oczekującego na zamartwychwstanie w temperaturze minus 180 stopni Celsjusza.

W Disneylandzie zatem zarysowuje się obiektywny profil Ameryki, nawet w morfologii jednostek i tłumy. Wszystkie jej wartości, dzięki miniaturyzacji i komiksowym wcieleniom, doczekały się tu gloryfikacji. Zostały zabalsamowane i spacyfikowane. Stąd możliwość (doskonale wykorzystał ją Louis Marin w *Utopies, jeux d'espaces*) ideologicznej analizy Disneylandu: jako digestu *American way of life*, jako panegiryku na amerykańskie wartości, jako wyidealizowanej transpozycji niespójnej rzeczywistości. Wszystko to prawda. Która coś jednak przystania, cały zaś wątek „ideologiczny” służy za alibi *symulacji trzeciego rodzaju*: Disneyland istnieje po to, by ukrywać, że Disneylandem jest cały „realny” kraj, cała „realna” Ameryka (trochę podobnie więzienia istnieją po to, aby ukrywać, że całe społeczeństwo, w swojej banalnej wszechobecności, jest karceralne). Wybudowano imaginacyjny Disneyland po to, aby przekonywać, że reszta jest rzeczywista, tymczasem całe Los Angeles i otaczająca je Ameryka przestały być rzeczywiste, należą bowiem do porządku hiperrealności i symulacji. Nie chodzi już o fałszywe przedstawianie rzeczywistości (o ideologię), chodzi o ukrycie, że rzeczywistość przestała być realna, ażeby ocalić zasadę rzeczywistości.

Imaginacyjny świat Disneylandu nie jest ani prawdziwy, ani fałszywy, to ustawiona na scenie maszyneria do gry na zwłokę, która w następnym ujęciu pokazuje zregenerowaną fikcję realności. Stąd debilizm tego świata wyobraźni, jego pełna infantylność. Ten świat musi być infantylny, aby narzucić przekonanie, że dorosli są gdzie indziej, w „realnym” świecie, i aby ukryć, że prawdziwa infantylność otacza nas zewsząd, i jest to w szczególności infantylność samych dorosłych, którzy przybywają tu bawić się w dzieci i podtrzymywać iluzję co do ich rzeczywistej infantylności.

Disneyland nie jest zresztą jedyny. Enchanted Village, Magic Mountain, Marine World: Los Angeles jest otoczone ze wszystkich stron tymi elektrowniami wyobraźni, zaopatrującymi w realność, w energię realności miasto, którego tajemnica tkwi w tym, że stanowi ono już tylko sieć nieustannej i nierealnej cyrkulacji – miasto o bajecznej wielkości, ale bez przestrzeni i wymiarów. To miasto, sam w sobie olbrzymi scenariusz i nieustanny plan filmowy, tak samo jak elektrowni konwencjonalnych i atomowych, tak samo jak wytwórni filmowych potrzebuje – niczym ośrodkowego systemu nerwowego – pocziwego świata wyobraźni stworzonego z obrazów dzieciństwa i oszukańczych fantazmatów.

Disneyland – przestrzeń regeneracji świata wyobraźni, przypominająca, obecne i tu, fabryki przerobu surowców wtórnych. Wszędzie przerabia się dziś odpadki, sny zaś, fantazmaty, historyczny, magiczny i legendarny świat wyobraźni dzieci i dorosłych jest odpadkiem, pierwszym wielkim zanieczyszczeniem środowiska cywilizacji hiperrealnej. Disneyland stanowi prototyp tej nowej funkcji na płaszczyźnie mentalnej.

Przełożył
Tadeusz Komendant